Rok XXIV. We Lwowie, dnia 12. stycznia 1917. Nr. 2.

Gazeta Kościelna

Przedpłata: roczna 13·— K. półroczna 7·— „ kwartalna 3·60 „
Rękopisów, przyjętych do druku, Redakcya nie zwraca.

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KOŚCIELNYM I SPOŁECZNYM.
ORGAN TOWARZYSTWA WZAJEMNEJ POMOCY KAPŁANÓW.
Wychodzi każdego piątku.

Redakcya, Administracya i Ekspedycya: X. Dr. A. Szebulk, Sykstuska 64.
Inseraty przyjmuje się za opłatą 30 hal. od wiersza petitu.
Reklamacye otwarte wolne są od opłaty pocztowej.

Komunia św. jako przedłużenie Wcielenia [1]).

Jednym z bardzo zajmujących problemów historyi dogmatów jest problem liczenia Sakramentów św. w starożytności chrześcijańskiej. Wiadomo bowiem, że kompletny katalog siedmiu Sakramentów św. w tej formie, w której go później Sobór trydencki uroczyście ukanonizował w zabytkach literatury kościelnej dopiero z XII. w. poczyna się pojawiać. Przyczyną tego zadziwiającego faktu nie mogła być oczywiście nieznajomość istoty Sakramentu ani ich osobliwego sposobu działania („ex opere operato"), a tem mniej późniejsze dopiero przez Kościół zaprowadzenie Sakramentów, bo Chrystus Pan wszystkie je osobiście ustanowił i Kościołowi powierzył. Przyczyny tego nie należy również szukać w czasowem o nich zapomnieniu i ich zarzuceniu w Kościele, bo w życiu praktycznem wszystkie wieki z ich dobrodziejstwa czerpały. Cóż więc mogło tak późno ich skatalogowanie spowodować?

Obok braku herezyi sakramentalnych jedną z głównych przyczyn była niezawodnie ta, że w żywej, na wskróś praktycznej i konkretnej wierze pierwszych wieków każda z tych tajemnic sakramentalnych żyła takiem bogactwem treści, tyle przedstawiała rysów, punktów widzenia sobie właściwych, że w bogactwie tym właściwości i szczegółów, składających się na utworzenie w każdym Sakramencie odrębnej fizyognomii, gubiły się te wspólne cechy, które je wszystkie kiedyś pod wspólny mianownik sprowadzić miały. Dopóki te wspólne wszystkim znamiona znikały w cieniu innych bardziej bijących w oczy i na pierwszy plan się wysuwających, nie zadano sobie trudu, by je w jednym spisie zarejestrować.

Na odwrót zaś, z chwilą, kiedy skatalogowanie Sakramentów św. zostało dokonane i wszystkie 7 tajemnic wspólnem mianem objęte, zaczęto na nie patrzeć w świetle wspólnej wszystkim definicyi katechizmowej, przyzwyczajono się rozpatrywać je i pojmować zbyt schematycznie, w ciasnych ramach wspólnych wszystkim cech i znamion i w ten sposób zatarły się cokolwiek, a przynajmniej na drugi plan zepchnięte zostały odrębne i każdemu właściwe rysy, tracąc przez to wiele z bogactwa swej treści. Do wyrobienia sobie o Sakramentach św. szerszego i wszechstronniejszego, a zarazem głębszego pojęcia posłużyć może rozpatrzenie ich na tle życia mistycznego Chrystusa i w organicznem ich z Chrystusem połączeniu.

Ciało mistyczne Chrystusa, to przedłużenie Jego rzeczywistego ciała, a celem jego sprowadzenie całej ludzkości w sferę promieniowania Boskiej Osoby Chrystusa i obdzielenie jej bogactwem tych łask, które ludzka natura Chrystusa z hypostatycznego swego z Bóstwem połączenia zaczerpnęła. Tym zaś organem ciała mistycznego, który najpełniej w sobie skupia życie Boże i najpotężniej działanie uwielbionej Głowy Chrystusa przenosi na jego członki i najrealniej hypostatyczne połączenie na rodzaj ludzki rozszerza i przedłuża, jest Najśw. Eucharystya. — W Hostyi Przenajśw., jakoby w sercu, schodzą się dwa główne tętna życia Chrystusowego. Jedno najświętsze potoki światłości i miłości Bożej rozprowadza do najdrobniejszych komórek bytu ludzkiego i samą istotę Bożą kojarzy w bratnim uścisku z ludzką słabością — drugie znowu, porwawszy w powrotnym ku niebiosom biegu tego ziemskiego robaczka, niby na skrzydłach wszechmocy Bożej wynosi go do tronu Boga Troistego, na jednej z Nim umieszczając go stolicy.

Pierwszy ten moment, kiedy człowiek jakoby w swem łonie bierze Boga w swe posiadanie, nazywamy Komunią św., drugi zaś, kiedy w wyniesieniu swem zatacza nad ziemią cudną tęczę chwały i uwielbienia Bożego Majestatu, nazywamy Mszą św.

Zatrzymajmy tutaj na chwilę wzrok wiary na tym najzacniejszym ze Sakramentów św., na Komunii św. i na stanowisku, które zajmuje w ciele mistycznem Chrystusa.

[1]) Por. Scheeben'a: Mysterien des Christentums §§. 69—76.

W Komunii św. proces, wcielający w Chrystusa, który się dokonuje w Jego ciele mistycznem, dochodzi do pełni swego rozwoju. Żeby w to tajemnicze skojarzenie się człowieka z Bogiem cokolwiek głębiej wniknąć, trzeba nam wejść na tę drogę, którą Bóg zstąpił na ziemię. Droga ta rozpoczyna się bramą Wcielenia, w łonie Przeczystej Dziewicy, wije się dalej wśród ludzi szlakiem Kościoła i dzieli się na tysiąc ścieżek, a obiegłszy dokoła królestwo ciała mistycznego, wraca powrotną bramą do Tego, który jest alfą i omegą, t. j. do Chrystusa.

Tą bramą powrotną jest Komunia św.

W niej najwyraźniej występują charakterystyczne cechy tej drogi, Sakrament ten najdobitniej przedstawia nam ciało mistyczne jako prawdziwe przedłużenie Wcielenia Syna Bożego, przedłużenie rzeczywistego Jego ciała. Cechy te dadzą się sprowadzić do trzech najgłówniejszych:

1. że podłożem złączenia się z Bogiem w tym Sakramencie jest pierwiastek materyalny;

2. że siłą sprawczą tego złączenia jest hypostatyczne działanie Osoby Chrystusa;

3. że kresem tego działania jest pełniejszy udział w życiu Bożem.

1. Ciało więc jest pierwszem ogniwem, łączącem Boga z człowiekiem w tym Sakramencie. Mamy bowiem z jednej strony całkiem materyalne postaci chleba i wina, mamy z drugiej strony rzeczywiste ich pożywanie ustami ludzkiemi. Oto niepozorna powłoka materyi, pod której ukryciem Bóg święci nowe swe z ludźmi zaślubienie. Bo to, co oczy cielesne widzą w tej tajemnicy, jest tylko punktem zaczepnym, jest tylko bramą wchodową. Oko wiary przenika tę zasłonę, za którą odkrywają się przed niem wspaniałe horyzonty. I widzi tam naprzód, że to pokarm nie dla ciała, ale dla duszy, że to nie zwykły chleb i wino, że to pamiątka Zbawiciela i ostatniej Jego wieczerzy, której wspomnienie wiarę i miłość w sercu roznieca. To pierwszy krok; nie daleko on nas prowadzi, do tego miejsca dochodzą protestanci, dla których pokarm eucharystyczny jest tylko mniej lub więcej skutecznym symbolem duchowej: przez wiarę i miłość komunikacyi z Chrystusem.

Nam za głosem wiary trzeba dalej podążyć. To, co przyjmujesz, mówi wiara, to nie symbol jedynie, to rzeczywiste Ciało i Krew Chrystusa. A pokarm Jego, to nie tylko akty wiary i miłości, które w sobie wzbudzasz na widok jego, ale On sam w swojej istocie. I usta, które się nim karmią, nie są już ustami zwykłego człowieka, tak, jak wyszedł z ręki Bożej, to usta, z których już tryska życie Boże. A to życie jest już nie tylko życiem dziecka przybranego, lecz życiem jednorodzonego Syna. Albowiem charakter sakramentalny spoił cię w jedno ciało mistyczne z Chrystusem, uczynił cię już w tem Jego ciele jedną, życiem Jego żyjącą komórką, tak cię przebóstwił, tak przedziwnie przekształcił, że ów pokarm możesz już jako sobie należny i właściwy uważać. Więc z jednej strony widzi oko wiary tę komórkę ciała mistycznego, z drugiej rzeczywiste Chrystusa ciało — oto dwa ekstremy, które Komunia św. łączy ze sobą, a łączy tak ściśle, jak ci to naturalne pożywanie pokarmu uzmysławia. Ale obraz ten tylko bardzo słabe i niedoskonałe daje wyobrażenie o tem połączeniu. I nic dziwnego, bo już weszliśmy w sfery nadziemskie, gdzie nasze ciemne ludzkie pojęcia należy oświecić, oczyścić, rozszerzyć wedle rozmiarów i perspektyw świata Bożego.

Pokarm należy zastosować do karmiącego się nim, a karmiącego do pokarmu. Dusza nabiera tej odpowiedniości przez upodobnienie się w charakterze sakramentalnym z Chrystusem, przez wyrażenie na sobie organicznej struktury ciała mistycznego, ożywionego łaską Bożą, tak, że ciało Chrystusowe staje się dla niej chlebem powszednim. Ale czyż to możliwe, żeby ciało Chrystusa mogło służyć za pokarm człowiekowi? Żydom w Kafarnaum wydawało się to niedorzecznością i niektórym uczniom „twardem" do zrozumienia, bo mieli na myśli ciało w stanie, w którym się zmysłom przedstawia. Gdyby widzieli uwielbione człowieczeństwo Chrystusa, choćby jeden promień z Taboru, możeby łatwiej słowom Jezusa uwierzyli. Ale i w chwale swej ciało Jezusa, choć tak jasne i przenikliwe, tak rącze i przebóstwione, przecież zawsze jest ciałem i jako takie podlega prawom materyi, nieodłącznie jest związane z czasem i przestrzenią, więc połączeniu się z ludźmi na sposób pokarmu nie przezwyciężone zdaje się stawiać przeszkody. Jednakowoż ręka wszechmocy Bożej potrafi te przeszkody usunąć, potrafi nadać mu nowy sposób istnienia, bardziej jeszcze tajemniczy, wprost wywracający wszystkie dotychczasowe nasze o materyi pojęcie; ciału swemu pozwala uczestniczyć w sposobie bytowania anielskim, nawet Boskim. Bo oto ręka Boża oddziela istotę chleba ofiarowanego od jego przypadłości a przemieniając ją w istotę ciała Chrystusowego, ciało to — rzeczywistą obecnością — sprowadza w kształty zewnętrzne chleba i każe mu tam przebywać na sposób anielski zarazem i Boski. Na sposób anielski, bo niby duch od materyi oderwany, przebywa, w prostocie swej nierozdzielnej, w całej hostyi i każdej jej cząsteczce — na sposób Boski, bo jako Bóg nie ograniczone w przebywaniu swem do pewnego miejsca, w tysiącznem odtwarzaniu swej prawdziwej obecności zamieszkiwać może całą kulę ziemską, gdziekolwiek tylko skromne postaci gościnę mu ofiarują a święte słowa kapłana pod ich dach sprowadzą. I któż teraz powie, że tak przyprawiony pokarm nie odpowiada człowiekowi, tej żywej komórce ciała mistycznego?

Pokarm to więc prawdziwy, ale całkiem osobliwego rodzaju. Zwykle bowiem człowiek karmi się substancyami martwemi, pozbawia je wszelkiej niezawisłości, przyswaja sobie i wchłania w siebie. Tutaj karmi się substancyą żywą, nieśmiertelną, która się nie da pozbawić swej niezawisłości, która przeciwnie, górując nad pożywającym ją, wyższością swego bytowania i potęgą Bóstwa przez nią przeświecającego, człowieka w siebie wciela, jednem ze sobą czyni ciałem. Podobnie jak światło, karmiąc oko, swojemi je barwami stroi, albo jak prawda, pojąc rozum, w swoje własne go wtłacza kształty i formy, tak samo i ten pokarm Boży karmiącego się nim pochłania i sobie upodobnia. I gdyby na tem poprzestać, zaiste ustałaby już dusza w niemym podziwie niepojętych cudów Bożych!

2. Ale to dopiero pierwszy akt tego dramatu zaślubin Boga z człowiekiem. Zbliżenie się i wstąpienie w skład ciała Chrystusowego przez Komunię św., choć w sobie tak tajemnicze, jest przecież znowu ze swej strony tylko widocznym znakiem większej jeszcze tajemnicy, otwiera drugi akt, prowadzi jakoby na drugie piętro tej mistycznej budowy; stanie się bowiem jednem ciałem z Chrystusem wyobraża i nie tylko wyobraża, ale dokonuje zjednoczenia z duchem Chrystusa. Duchem Chrystusa jest Bóstwo Jego. Podobnie jak ciało ożywione jest duszą, tak cała ludzka natura Chrystusa ożywiona jest obecnością Bóstwa, osobowo z nią złączonego. I do tego Bóstwa, do Boskiej Osoby Słowa, zbliżyć nas ma Komunia św. a zbliżyć w sposób nowy, bezprzykładny. Stanie się jednem ciałem z Chrystusem ma dla nas dlatego przedewszystkiem tak niesłychaną doniosłość, że to ciało jest narzędziem Boskiej Osoby. Już tutaj na ziemi ciało to, jako organ Bóstwa nieodłącznie z Bóstwem złączone, cudownych dokonywało rzeczy. Jakaś cudowna moc promieniała z niego i przedziwnem działaniem swem rozlegała się na ludzi i nawet na martwą przyrodę. Virtus de illo exibat (Łk. 6, 19). Własność ożywcza tego ciała, tego „caro vivificans", o wiele wyraźniej występuje w bytowaniu jego eucharystycznem. Głównem jego zadaniem w czasie życia Jezusa na ziemi było, żeby żyło, głównem jego zadaniem za dni naszych w życiu eucharystycznem jest, żeby ożywiało. Dlatego tamto nie różniło się niczem od naszego ciała, dlatego to przebywa wśród nas w formie pokarmu. Wstępując na miejsce tej substancyi, która ożywia nasze ciało, jako pokarm codzienny, oznajmia tem samem wyraźnie, że na to tylko przebywa w Eucharystyi, żeby ożywiać. I dlatego też przebywa w Eucharystyi nie jako ziarnko pszeniczne, przeznaczone na to, żeby żyło samo w sobie i rozwijało się i plon przynosiło, ale jako ziarnko zmielone, które przeszedłszy przez śmierć i upalenie, sobie obumarło i na chleb się przemieniło, aby ludziom za pokarm służyć mogło.

Siłę zaś ożywczą czerpie Ciało Chrystusowe z osobowego swego z Bóstwem zjednoczenia. Wprawdzie i inne Sakramenta ożywiają duszę życiem Bożem, wprawdzie i one czynią to przez siłę hypostatyczną, która w nich płynie z Boskiej Osoby Słowa, ale prąd tego życia w nich jest nierównie słabszy. Tam jakoby z oddali, jakoby korytem pośrednich przewodów płyną wody tego życia, tutaj płyną jakoby wprost ze źródła.

Tam dusza nasza styka się tym wirtualnym tylko kontaktem z ciałem Chrystusa żywem wprawdzie i uwielbionem, ale tutaj to ciało spotęgowało jeszcze swą siłę ożywczą, przemieniając się w Komunii św w osobliwy sposób na ciało ożywiające i pożywiające, na „caro", mocą swego stanu sakramentalnego jeszcze bardziej „vivificans".

Ale nietylko tem działaniem hypostatycznem, lecz także osobliwem udzielaniem Boga duszy góruje Komunia św. nad innymi Sakramentami.

3. Mocą unii hypostatycznej jest ludzka natura Chrystusa najpiękniejszą na ziemi i na niebie świątynią, cieszącą się takiem posiadaniem Boga, tak prawdziwem i tak pełnem, jakiem żadna inna poszczycić się nie może. I kiedy człowiek staje się przez Komunię św jednem ciałem z Chrystusem, tem samem wstępuje w skład tej świątyni, wtedy ściany jej zdają się jakoby nad sercem jego rozszerzać i serce to w sobie tak ciasne wchodzi w współposiadanie tych dóbr i skarbów, które dotąd natury Chrystusowej były niepodzielną własnością. Jak pokarm ciała oprócz swych własności odżywczych ma jeszcze i tę własność, że wywołuje w ciele pewne uczucie rozkoszy i zadowolenia, tak samo też i ten pokarm niebieski sączy do duszy krople tego wyższego, niebieskiego wesela. I to jest jedna osobliwa własność tego Sakramentu, że do duszy wprowadza Boga nietylko jako pierwiastek Boskiego życia, ale składa go tam jako przedmiot prawdziwego i rozkosznego posiadania i używania.

Podobnie jak młody dziedzic, kiedy wprowadza oblubienicę swoją, z którą się stał jednem ciałem, do domu ojca, tem samem ją wiąże jakoby węzłem pokrewieństwa ze swoją rodziną i miłości rodzicielskiej na równi ze sobą czyni uczestniczką, tak samo i Syn Boży, stając się przez sakramentalne w Komunii św. zaślubiny jednem ciałem z człowiekiem, duszę ludzką, niby oblubienicę swoją, wprowadza do przybytków niebieskich, na łono owej Boskiej rodziny, dając jej odczuć ciepło i słodycz tego życia, którego w miłośnym uścisku z Ojcem i Duchem św. sam od wieków zażywa. Kiedy w Komunii św. człowiek staje się jednem ciałem z Jezusem, zdaje się, jakoby ta światłość wiekuistego szczęścia, które ludzkie serce Jezusa od pierwszej chwili istnienia zalewało, swój odblask rzucała na serce człowieka, które podobnie jak tamto Boga nazwać może swoją własnością.

O jakżeż słodkiem jest nam to posiadanie Boga, jak pocieszającym w mroku naszego pielgrzymowania ten zadatek oglądania wiekuistego Boga! Bo któż teraz będzie wątpił o tem, że Bóg mu się w błogosławionem widzeniu udzieli kiedyś bez zasłony na pokarm duszy jego, skoro już tutaj na ziemi to czyni przez pośrednictwo swej ludzkiej natury!

4. Ale na tem jeszcze nie koniec przedziwnym zamysłom Jezusa. Uczynił człowieka jednem ciałem ze sobą, poddał go działaniu hypostatycznemu swej Boskiej Osoby, oddał mu siebie samego w posiadanie, to jeszcze nie wszystko — pozostaje nadto w duszy samej wywołać samoistne życie Boże i to w takiej pełni, jak to na ziemi, w krainie wiary i miłości jest tylko możliwem. Tak, jak poślubienie osobowe natury ludzkiej Chrystusa zaznaczyło się w niej najpełniejszym rozkwitem życia łaski i miłości, jaki tylko w myśli Bożej mógł powstać, tak przedłużenie tych zaślubin w Komunii św. podobnego rozkwitu jest sakramentem. Bo kiedy człowiek przez Komunię św. staje się jednem ciałem z Chrystusem, tem samem podszywa się pod jego złocistą szatę Boskiego Synowstwa i w szacie tej stając przed oblicznością Ojca, odwiecznej Tegoż ku Jednorodzonemu Synowi miłości staje się uczestnikiem. W chwili, kiedy sakramentalne pożywanie ciała Pańskiego czyni go jednem ciałem z Chrystusem, równocześnie nad duszą ludzką pochyla się Duch św. i wyciska na ustach jej pocałunek swój, pragnąc w tym pocałunku aż do serca przelać potoki swej odwiecznej miłości. Jedność

bowiem ciała pociąga za sobą w naturalnem następstwie jedność serca. Ze serca, z Bóstwem w Chrystusie istotnie złączonego, jakoby z tronu swego Duch św. wszechwładnej swej miłości nad całem człowieczeństwem Jezusa roztacza panowanie. Kiedy więc w Komunii św. serce człowieka staje się jakoby jednem sercem z Jezusem, panowanie to Boskiej miłości i niem zawładnąć powinno. I to jest ostatecznym kresem i głównym owocem tego Sakramentu, żeby żar miłości Bożej w sercu ludzkiem zapalić.

Inne skutki Sakrament ten wywiera ostatecznie i bez czynnego współdziałania ludzkiego, ale miłować Bóg za człowieka nie może. Bo miłość jako akt życiowy wprost ze serca ludzkiego wypływa i bez przyczynienia się serca w płomień żarliwości rozgorzeć nie potrafi. A klucze do serca złożone są w ręku człowieka, Duch św. szanuje jego prawa i nie włamuje się gwałtem, lecz czeka, aż mu klucze do szczęścia swego i berło panowania sam powierzy. I tutaj mamy rozwiązanie zagadki, dlaczego codzienna Komunia św. w tych duszach nie przynosi tego pierwszorzędnego swego i najgłówniejszego owocu, t. j. tego, „fervor caritatis“, tego żaru miłości. Oto prawdziwa tragedya serca ludzkiego; nigdzie może tak jaskrawo nie bije w oczy ten kontrast między przepaścią dobroci Bożej a przepaścią nędzy ludzkiej, jak kiedy ta jasność tajemnic Bożych, jak kiedy potok tych łask, jak kiedy Bóg sam zatrzymać się musi i z niczem odejść wobec zamkniętych samolubstwem bram serca ludzkiego:

„In propria venit et sui eum non receperunt“ (Ian I. 11).

O. Karol Szrant C. ss. R.

Odpowiedź na „Refleksye z powodu jubileuszu Frintaneum“ [1].

W 50. numerze *Gaz. Kośc.* z dnia 15. grudnia 1916 umieścił autor, podpisany literami X. Dr. N. artykuł p. n. „Refleksye z powodu jubileuszu Frintaneum“, w którym podaje „uwagi drażliwej trochę natury“, a nadto nie oparte na rzeczywistym stanie rzeczy.

Twierdzi autor, że bywały wypadki dość liczne, w których Władza duchowna i wierni doznawali przykrego zawodu, kiedy nowy doktor teologii zaczął pracować na wyznaczonem mu stanowisku.

Wypadki takie bywały, to pewne, ale czy dość liczne, w stosunku do wysyłanych na studya, to pytanie. Gdyby od autora „Refleksyi“ zażądano dowodów pewnych, opartych na liczbach i na aktach konsystorskich, toby zapewne znalazł się w kłopocie. Czego zaś udowodnić nie można, tego się nie twierdzi. Każdy kapłan ma sumienie i stara się spełnić swe obowiązki tak, jak umie i może, a jeżeli mimo najlepszej woli nie zrobi czegoś tak, jakby chciał, za to kamieniem potępienia na niego rzucać nie wolno, bo któż jest z nas bez winy?

[1]) Artykuł X. Dra N. wywołał już kilka odpowiedzi, które przyczynią się cokolwiek do wszechstronnego wyświetlenia rzeczy. Dlatego zamieszczamy je chętnie, chociaż nie we wszystkiem zgadzamy się z ich treścią. Dyskusya w tej sprawie może przynieść n. zd. pożytek i to niemały. *Dop. red.*

Po tym wstępie atakuje autor doktorów teologii z Wiednia, bo pisze: „Wrócił on z Wiednia, z wysokiem wyobrażeniem o swojej wiedzy i wartości, nie czuł żadnej ochoty do pracy duszpasterskiej, mniemał, że ma prawo do wyższych stopni w hierarchii duchownej, do najlepszych beneficyów, a tymczasem nie potrafił nawet znośnego napisać i wygłosić kazania, ani dokonać przekładu z języka łacińskiego lub innego na polski“!

Dlaczego autor przypisuje te brzydkie wady samym doktorom teologii z Wiednia? Czy inne zakłady naukowe mają specyalne dary Ducha św., które je chronią od tych wad? Czy przeciwnie praktyka nie uczy, że też doktorowie z innych zakładów mają te wady?

A gdyby tak autorowi kazano udowodnić to twierdzenie dowodami przekonywującymi, czy potrafiłby je przytoczyć?

Jeżeli który zakład, to Frintaneum szczególnie zaprawia swoich wychowanków do pracy duszpasterskiej, bo obowiązkowo muszą odprawiać nabożeństwa w niedziele i święta, a także w dnie powszednie, w kościołach parafialnych wiedeńskich, udzielają też w nich św. Sakramentów, a często miewają także kazania. Frintaniści z innych krajów monarchii idą zwyczajnie po skończonych studyach na parafie, a dopiero z parafii powołują ich Księża Biskupi do zajęć naukowych. Również i Frintaniści galicyjscy z ostatnich czasów wszyscy rwali się po skończonych studyach do pracy duszpasterskiej, a jeżeli w niej nie są zajęci, to dlatego, że tak zarządziła Władza duchowna. — Kto też na kogo z góry spoglądał, czy doktor na księdza z parafii, czy ksiądz z parafii na gołego jak mysz kościelna doktora, to też pytanie!

Nie wiem, jak dawniej pod tym względem było, ale jeżeli teraz jest inaczej, pocóż poruszać i poprawiać dawne czasy? Sądzę jednak z charakterów dawnych Frintanistów, że i dawniej tak nie było, jak napisał autor.

A co się tyczy tego, że jakiś doktor teologii z Wiednia nie potrafił nawet znośnego napisać i wygłosić kazania, ani dokonać przekładu z języka łacińskiego lub innego na polski, to czy Wiedeń jest temu winien? Czy Wiedeń odbiera zdolności do pisania lub głoszenia znośnych kazań lub też dokonywania tłumaczeń? Zapewne nie! Jeżeliby który z kleryków nie miał na tyle zdolności, żeby mógł napisać lub wygłosić znośne kazanie, lub nie rozumiał na tyle języka łacińskiego, aby nie pojął treści praw kościelnych, to zapewneby Władza duchowna go nie przypuściła do święceń, a tem mniejby go posłała na wyższe studya. Jeżeli zaś kto te zdolności zaniesie ze sobą do Wiednia, zapewne ich tam nie straci, ale je pomnoży.

Z tego, co autor dalej pisze, wynika, że autor albo nie zna systemu studyów we Frintaneum, albo przynajmniej obecnej ich organizacyi. Pisze on, że w Wiedniu egzaminowano do niedawna w ten sposób doktorandów teologii, że kazano im wymieniać przy egzaminie z historyi kościelnej wszystkich papieży wieku 12. lub innego z datami ich rządów, że zmusza się kandydatów do memoryzowania wielu szczegółów, które im wnet ulotnią się z pamięci. Nie dodaje autor, gdzie to tak egzaminowano, we Frintaneum czy na uniwersytecie wiedeńskim?

Bo trzeba wiedzieć, że Frintaneum a uniwersytet, to są dwie rzeczy różne. Frintaneum jest rodzajem bursy, która daje członkom swoim całkowite utrzymanie, a na uniwersytecie wiedeńskim robią Frintaniści rygoroza. Zakładem Frintaneum kieruje proboszcz dworski (do r. 1912 był kierownikiem X. Biskup Mayer, a obecnie jest nim X. infułat Dr. Seydl, były profesor uniwersytetu wiedeńskiego) i czterech dyrektorów, zwyczajnie byłych profesorów teologii. Jeden z dyrektorów jest spirytualnym, a trzej inni są kierownikami studyów. Miewają oni wykłady domowe, wprowadzają w metodę każdego przedmiotu, zaznajamiają z literaturą przedmiotu, a przed składaniem rygorozum w uniwersytecie egzaminują ze swojego przedmiotu, a egzamin ten zwyczajnie jest trudniejszy w domu, niż na uniwersytecie. Studyum domowe odpowiada wymaganiom na uniwersytecie, a porządek egzaminów we wszystkich uniwersytetach w monarchii austryackiej oparty jest na uchwale Księży Biskupów, powziętej na konferencyi biskupiej w Wiedniu.

Autor zachęca kierowników i profesorów „tego i owego zakładu", a zawsze ma na myśli szczególnie Wiedeń, jak z kontekstu wynika, do zastanowienia się, czy nie zachodzi potrzeba jakichś zmian i reform, zapominając, że te zmiany i reformy należą do poważniejszego ciała, bo do Księży Biskupów z monarchii austryackiej. — Żleby podobno było, gdyby kierownicy i profesorowie tegoż i owego zakładu zmieniali na własną rękę porządek studyów, bo wtenczas powstałby w studyach chaos nieopisany. Niech raczej Księża Biskupi tą tak ważną sprawą kierują, a mamy pewność, że nie zejdziemy na manowce.

Nie wiem też, skąd autor zaczerpnął wiadomości o wyliczaniu papieży z 12. wieku lub innego z datami ich rządów. Robiłem rygorozum z historyi w r. 1911 i zrobiłem je, dzięki Bogu, dobrze, ale nikt mi nie kazał wyliczać papieży z 12. wieku lub innego z datami ich rządów. Przeciwnie, egzaminowano mię z historyi poglądowo i pragmatycznie i więcej żądano odemnie znajomości faktów, niż dat. To samo może potwierdzić każdy z Frintanistów, który robił tam rygorozum z historyi. — Gdyby nas dręczono suchem memoryzowaniem dat, nie mielibyśmy zapewne czasu na uczęszczanie na seminarya historyi kościelnej i na wykłady historyi na wydziale świeckim. Zarzut ten więc jest całkiem nieuzasadniony.

Również nie mogę się zgodzić na następny zarzut, zrobiony „Frintaneum", jakoby ono przeszkadzało wyrobieniu się specyalistów w pewnym przedmiocie. Jak już przedtem zaznaczyłem, porządek studyów we Frintaneum zależy od uchwały Księży Biskupów z monarchii austryackiej, a nie od kierowników zakładu. Powtóre, w tym systemie studyów, jaki teraz obowiązuje, można się specyalizować w tym przedmiocie, w którym kto chce. Jeżeli bowiem Frintanista ma do jakiegoś przedmiotu szczególne zamiłowanie, lub jeżeli jego Biskup poleci mu studyować szczególnie jeden przedmiot, to może jemu oddawać się przez całe cztery lata pobytu we Frintaneum, innym przedmiotom poświęcając mniej pilności i pracy. Nadto może, jako ukończony doktor, poświęcić się jeszcze przez rok lub dwa obranemu przedmiotowi, a Frintaneum daje mu utrzymanie. Na taki sposób studyów zgadza się Frintaneum i uniwersytet i wielu Frintanistów w ten sposób studya swoje odbywa.

Nie zgodziłbym się jednak na twierdzenie autora, że specyaliście teologowi nie potrzeba znajomości innego przedmiotu św. teologii, bo specyalności teologiczne to nie są odrębne rzemiosła, ale razem łączą się one na wspólną znajomość wiary św. katolickiej. Dlatego obecnie w Rzymie do uzyskania stopnia doktora Pisma św. w Instytucie biblijnym potrzeba mieć stopień doktora lub magistra teologii. A również historykiem kościelnym dobrym być trudno bez doskonałej znajomości teologii. Nawet znajomość nauk społecznych wymaga gruntownej znajomości teologii, inaczej praca społeczna zbankrutuje, jak się to stało po części z systemem bolońskim, gdzie nauki społeczne zbaczały od teologii.

Autor domaga się, aby doktorandzi zaprawiali się do badań samodzielnych w pewnym kierunku i do pisania rozpraw naukowych. — Do tego ma się doskonałą sposobność we Frintaneum. Według obecnego porządku studyów każdy doktorand musi napisać rozprawę naukową, która odpowiada jednemu rygorozum. We Frintaneum pisze się tę rozprawę zwyczajnie przez jeden rok pod kierunkiem profesora uniwersytetu i dyrektora Frintaneum. Frintanista ma do dyspozycyi bibliotekę domową, bardzo bogatą i doskonale uporządkowaną; bibliotekę uniwersytecką, jedną z najbogatszych w monarchii; bibliotekę domu Habsburskiego, mającą cenne rękopisy i antyki; bibliotekę miasta Wiednia i wiele innych. Jeżeli zażąda dzieł z innych bibliotek, dostanie je na żądanie i bezpłatnie. Frintanista ma w Wiedniu liczne muzea, zbiory prywatne i archiwa rządowe, ma wielu ludzi uczonych, którzy mu do pracy naukowej dopomogą, ma bogate zbiory i biblioteki seminaryów teologicznych. Kto chce w Wiedniu pisać rozprawy naukowe, ma tyle środków, ile sam chce. — Frintanista każdy musi nadto pisać kilka prac naukowych domowych i seminaryjnych i musi je publicznie czytać i krytyce się poddać. Jeżeli więc chodzi o pisanie rozpraw naukowych, to Frintaneum daje do nich wiele sposobności i autor pod tym względem nie utrzyma się z zarzutem swoim. Raczej ten zarzut trzeba skierować w inną stronę! Jeżeli zaś Frintaniści po ukończeniu studyów nie wszyscy piszą, to często pochodzi to stąd, że się im nie daje sposobności.

Wogóle studya w Wiedniu są dla nas Polaków bardzo pożyteczne. Niemcy mają wiele cnót, których nam brak i my tych cnót możemy się od nich nauczyć. — Trzeba też pamiętać, że Wiedeń jest miastem Luegera, że Wiedeń żyje i działa po chrześcijańsku bardziej, niż inne miasta. Wiedeń jest miastem, urządzonem społecznie na nową modłę i to się tam widzi na każdym kroku. Nadto Frintanista ma sposobność poznać kapłanów, należących do innych narodowości monarchii austro-węgierskiej i od nich może się też dużo nauczyć przez obcowanie z nimi. Frintaniści uczęszczają też regularnie na wszystkie wykłady naukowe w Leo-Gesellschaft i w innych klubach naukowych. Kto więc chce w Wiedniu pracować naukowo i chce się kształcić, ma na to sposobności podostatkiem.

A teraz pytanie do autora: Po co umieszczać takie Refleksye w Gazecie i drażnić ludzi, którzy nam są ży-

czliwi? Kto chce pisać o jakimś przedmiocie, niech go przedtem dobrze pozna i niech pisze bezstronnie!

Tyczyn, 1. stycznia 1917 r.

X. Kazimierz Kotula, dr. krakowsko-wiedeński.

Do źródeł duszy rosyjskiej... [1]).

W literaturze rosyjskiej lat pierwszych konstytucyi daje się zauważyć zwrot znamienny.

Ideały, głoszone przez Puszkina, doprowadzone do zenitu przez Dostojewskiego, wyrzucono na śmietnik.

Dziś niczem służenie prawdzie, narodowi, artyzmowi rzetelnemu. . To fraszki, to frazesy puste!..

„Gdyby kto zapragnął — pisze p. W. Grubiński na łamach „Sfinksa" (zeszyt sierpniowy z r. 1910) — współczesną literaturę rosyjską scharakteryzować jednem tylko słowem, tenby powiedział o niej: „zmora". Literatura rosyjska jest zmorą. I nic w tem dziwnego, bo przecież człowiek, który ją wydawał, to tak samo zmora, a według praodwiecznych praw świata, puhacz rodzi puhacza .. Mistyczne łono, w którem lęgła się wśród krwawych boleści straszna literatura rosyjska, dusza Rosyanina — nie duszą jest, lecz zmorą. Rosyanin nie zna duchowej pogody, nie zna beztroskiej radości, bachicznej orgii; artysta rosyjski nie zna twórczego szału; jego Dyonizyos szaleje wprawdzie, ale jak niedoszły samobójca; jego uroczystości Dyonizyjskie nie są świętami płodności i wiecznego bujnego życia, lecz dziką czarną mszą zniszczenia, lecz dytyrambem rozpaczy; Bachus rosyjski upija się wódką, nie cudownym sokiem Sema, w którym mieszka bóstwo i Bachus rosyjski klnie zajadle matkę, symbol odradzającego się wciąż, w nieskończoność, życia... Barbarzyńca obawia się życia, bo nosi w sobie wieczny strach, bo, jako barbarzyńca, nie ma jeszcze duszy, ale ma już zmorę. Nieszczęsna to dola, dola Rosyanina, dwa tylko mającego krańce: niewolnik albo anarchista"...

...„Każdy Rosyanin dzisiejszy przynosi z sobą na świat dziesięcioro mistycznych przykazań, z których pierwsze brzmi *czyn czyna poczitajet.* Zdarza się i bunt... smutny bunt niewolników, nie zaś bunt ludzi z urodzenia wolnych, będących w niewoli. Inna jest zgoła rzecz dostać się do niewoli po zaciekłej walce, a inna rzecz być niewolnikiem z instynktu (vide świetne artykuły w „Rjeczi", Mereżkowskiego *Gołowka wisnioł, Torżestwujuszczaja swinja).* Dlatego i my i cały Zachód boimy się literatury rosyjskiej. Dzieje narodu polskiego są pogodne, pogodne do lekkomyślności; Polska wydawała bohaterów, jakby ze słonecznego poematu, dla których, mogłoby się zdawać, iż niema innego miejsca urodzin i życia oprócz legendy i wyobraźni poety. Wielki Dostojewski, polityczny ex-katorżnik, synteza rosyjskości, błogosławi knut! Wielki Inkwizytor z Braci Karamazowych mówi o radościach niewolnictwa i o... okropnościach wolności! Jakżeż mają kochać literaturę rosyjską narody z ducha wolne! Dziwią się jej. Sąsiedzi dalsi — Francuzi, Anglicy, Włosi, Niemcy — oceniają talenty i oglądają twórczość rosyjską z zaciekawieniem, niby zamorskie dziwadło, książki rosyjskich autorów biorą do ręki ostrożnie"..

Było coś, co przypomina chwilę obecną, w szóstym dziesiątku ubiegłego stulecia. Ale wówczas działo się to z innych powodów, dla całkiem odmiennego celu. Wówczas, pod pozorem rozpraw krytycznych pisano artykuły publicystyczne, ażeby oszukać czujne oko cenzora i pomówić z czytelnikiem na temat spraw bieżących. Drogę taką wskazał pierwszy Bielinskij, udoskonalili ją Pisarew i Zajcew.

Kiedy jednakowoż zniesiono cenzurę prewencyjną dla całego szeregu wydawnictw, sposobu tego rodzaju pisania zaczęto pilnie wystrzegać się. I jedynie w wypadkach, w których chodziło o kwestye zabronione całkowicie do omawiania, uciekano się z konieczności do t. zw. „języka czopowskiego", którym tak znakomicie władał Szczedrin-Sałtykow.

W chwili, w której cała Europa zachodnia zaczęła rozczytywać się w autorach rosyjskich, społeczeństwo rosyjskie w dzikiem zaślepieniu deptało ideały starych mistrzów i wyciągało ręce ku nowym pisarzom, którzy ukazywali mu nowy, nie widziany dotąd nigdzie i niemożliwy do stworzenia świat.

Nie był to świat poniżonych, z którym Rosya miała sposobność zaznajomić się bodaj z pism takich „narodników", jak Rjeszetników lub Gleb Uspienskij. Nie był to świat zmęczonej i znudzonej inteligencyi, którą malował w swoich powieściach Czechow z uśmiechem żałosnym lekarza na ustach. Ale jeżeli pierwsi widzieli poniżonych i zgnębionych losem, to przecież ani razu nie orzekli, iż tym właśnie warstwom należy się naczelne miejsce na świecie.

Czechow znowuż wiedział doskonale, że współczesna inteligencya rosyjska nie jest o tyle silna, iżby mogła stworzyć nowe życie. Czechow wmawiał w nią, że za paręset lat życie stanie się lepszem...

A teraz publiczność czytająca rzuciła się w objęcia „bosiactwa" i metafizyczno-płciowych ekstrawagancyi!...

Ależ bo i ta cała metafizyka jest anarchistyczna na wskroś! Boć „chińszczyzną", płytkością, głupstwem jest dla takiego n. p. Mereżkowskiego nawet wszelki empiryzm, pozytywizm czy materyalizm nakoniec. Podług niego każdy, kto nie zabarwi swego poglądu na świat metafizyką, jest skończonym głupcem, niegodnym miana człowieczego. Mereżkowskiemu marzy się jakieś fantastyczne królestwo Boże na ziemi, oparte na zasadach jakiegoś neo-chrystyanizmu, bliżej nieokreślonego

Takie formy wszelako, jakie przybrała mistyka rosyjska pierwszych lat konstytucyi, nie dadzą się pomyśleć nigdzie indziej, jak tylko w stadzie pierwotnem. Bo czyliż zrozumie umysł kulturalny połączenie mistyki z miłością lesbijską, jak u Zinowiewej, lub z homoseksualizmem, jak u Kuźmina, wreszcie z sadyzmem w poezyach Sołłoguba i Briussowa? Ideał zresztą „bosiactwa" nie jest bynajmniej wynalazkiem rosyjskim i w ogólności nie może być uważany za ideał, jako że jest teoryą bezwzględnej negacyi bytu.

Podług Gorkiego należy odrzucić wszelką kulturę oraz zasady, na jakich opiera się państwo i społeczeństwo. Celem zaś życia — dogodzenie

[1]) Ustęp z książki p. n. „Dżingis-Chan zmartwychwstały".

instynktom bydlęcym i w tym kierunku nie powinien człowiek spotykać żadnych przeszkód.

Tak głosił współczesny Zarathustra rosyjski. .

Społeczeństwo zaś, które od dawna zatraciło wiarę, rewolucyonizowane za pomocą książek i broszur agitacyjnych, zasmakować musiało z natury rzeczy samej w utworach Gorkiego, widząc w nich niejako realne urzeczywistnienie tego, o czem marzyło nie od dzisiaj.

Nie darmo Gorkij lubił nazywać się „zwiastunem burzy“, bo rzeczywiście wniósł rewolucyę do literatury pięknej i sam zeszedł ze sceny w chwili, w której pożar rozgorzał.

Z pomocą przyszedł mu Andriejew, kreślący typy współczesne, jako nerwowo chore i psychopatologicznie wykoszlawione. Odrzucił wszelkie podstawy religijne, widząc wokół tylko jedno oszustwo, życie zaś traktuje jako puste i bezwartościowe.

Po tych dwu heroldach nowego kierunku w literaturze i ich satelitach w osobach: Juszkiewicza. Skitalca, Arcybaszewa i tylu innych pomniejszych naśladowców, społeczeństwu nie pozostawałoby nic innego, jak uznać, że najwyższym ideałem człowieka jest zniszczenie i śmierć...

Daremnego trudu podjąłby się ten, kto chciałby dogrzebać się w sercach tych wszystkich pisarzy miłości ojczyzny. Na jej miejscu bowiem znajdzie tylko — nienawiści morze. A wszakże nienawiści jest i tak w życiu za wiele. I nienawiść jest czynnikiem rozkładczym, który zawsze zwraca się samobójczo przeciwko tym, co go uprawiają!

Przejęcie się bezgraniczne ideałami Sawwów wyprowadziło w latach 1905—1907 na widownię publiczną tysiące jednostek, podobnych jota w jotę do mrocznych indywiduów, wyidealizowanych przez najmłodszą literaturę rosyjską. A jedynem wyznaniem ich była — zbrodnia pod jakąkolwiek postacią.

Ale że z tego naśladownictwa nic nie wykwitnie i nie da owocu — to niewątpliwe!

Jeszcze w przededniu awantury mandżurskiej przeciwstawiał dumnie kniaź U c h t o m s k i j „zdrową“ rzekomo moralnie Rosyę „zgniłej Europie“ i nie zawahał się przed tłumaczeniem „wyższości“ duszy rosyjskiej wrodzonym jej a z y a t y z m e m. Tymczasem okazało się w istocie samej zupełnie coś przeciwnego. Z głosu szczerego duszy rosyjskiej przekonali się wszyscy aż nadto dowodnie, że głos to jest skostniałej, apatycznej i zmurszałej już Azyi, której brak kompletny wszelkiego pierwiastku pozytywnego, twórczego, a której jedynem dążeniem negacya ostateczna, beznadziejna...

Zniszczenie, powszechne zniszczenie wszystkiego! — oto hasło, jakie światu rzuciła owa dusza.

Aleć też treścią duszy rosyjskiej był od wieków i jest potąd — n i h i l i z m.

Dowodem na to najlepszym fakt, iż przez przeciąg tylu stuleci umysł rosyjski nie stworzył niczego, ale natomiast niszczyć potrafił zapamiętale wszystko, co było działem pracy wiekowej, mozolnej, co było wynikiem tryumfującego wysiłku, ale niestety nie odpowiadało burzycielskiemu instynktowi rosyjskiemu!

Żebym nie został posądzony o stronniczość, powołam się na zdanie najwybitniejszego dzisiaj nacyonalisty rosyjskiego, jakim jest kniaź M e s z c z e r s k i j, który wszelako nie zawahał się przed oświadczeniem, iż „o Rosyi można powiedzieć, że jest ona dla wszystkich, ale nie dla Rosyan, albowiem Rosyan — niema. Jest u naszej góry jakieś śmiecie ludzkie, które mianuje się Rosyanami, ale Rosyan w tem znaczeniu, w jakiem widzimy Niemców, Anglików, Włochów — w znaczeniu świadomych obywateli, synów swojej ojczyzny i swego państwa, silnych fizycznie — mięśniami i duchowo — swoją narodowością, takich Rosyan — niema“!...

Czyliż można wyobrazić sobie większą od tej pogardę, jaką wyraził swój rodakom swoim!...

Ale miał słuszność. Z historyi bowiem wiadomo, że gdzie stąpi stopa Rosyanina, tam już nic nie wyrośnie. Rosyanin nie zbuduje niczego, żadnego pomnika pracy po sobie nie zostawi, a jeno same ruiny w tych miejscach nawet, w których przed pojawieniem się jego kwitnęła wspaniale kultura. Natomiast przyniesie wraz z sobą mikroby rozkładu, bo jest zawsze burzycielem bezmyślnym.

Ten potworny instynkt niszczycielski, bezmyślny aż do idyotyzmu, wyłazi z każdej karty historyi rosyjskiej, widać go w całym dorobku literackim Rosyan, we wszystkich przewrotach społecznych, a nawet w stosunku formacyi wolnościowych do narodów ujarzmionych. Przypomnieć wystarczy rok 1861, kiedy to w Petersburgu odbyła się wspólna narada studentów Polaków i Rosyan. Obie strony łączyła wspólna nienawiść przeciw rządowi. Sojusz wszelako prysnął, skoro tylko Rosyanie dowiedzieli się, że Polacy nie chcą Rzeczypospolitej wspólnej, ale niezawisłego państwa polskiego.

Jak w całych dziejach Rosyi, tak też w latach pierwszych konstytucyi wymuszonej — i to papierowej nie było wśród społeczeństwa rosyjskiego prawdziwego bohaterstwa.

Zdarzało się w dziejach świata, że państwa ogromne runęły grzechami swojemi — ale narody pozostały nietknięte. W wieku XX-tym istnieje państwo-kolos, żyjące z dnia na dzień na podobieństwo chorego nieuleczalnie, porażonego przez paraliż postępowy. W imperyum rosyjskiem rozchorowały się warstwy podstawowe „narodu panującego“ na pomieszanie wszelkich zasadniczych pojęć, nawet ogólno ludzkich.

Naród taki sam sobie własną ręką kreśli napis, identyczny z biblijnym napisem Baltazarowym:

Mane-Tekel-Ufarsim!...

Dr. Stanisław Zdziarski.

Refleksye z podróży.

(Ciąg dalszy).

Nie wiem, czy nie z tego samego kruszcu psychicznego, co grzeczność, wyszła ta lekkość umysłu, połączona z dowcipem, która czyni w ustach czy pod piórem Francuza rzecz mądrą — zarazem miłą, zajmującą, jasną. Zwierzał się raz Goethemu przyjaciel uczony: „Dziwna rzecz, ja naszych filozofów niemieckich rozumiem lepiej w interpretatorach francuskich niż w oryginale“. Całą prawdę tego powiedzenia ocenia się dopiero na wykładach Sor-

bony czy Collège de France, których czar pozostaje w duszy człowieka na całe życie jako wspomnienie świetlane rozkoszy intelektualnej jedynej w świecie: czem sztuka we Włoszech, natura w Szwajcaryi, tem myśl ludzka w Paryżu: sala wielka, albo i olbrzymia — na tysiąc i więcej osób, zapełniona szczelnie słuchaczami obojej płci i wieku od młodzieńczego do sędziwej starości. Profesor młody, trzydziestoletni, czy stary pod siedmdziesiątkę, to nie stanowi różnicy, bo jeden i drugi ma giest, temperament, życie młodzieńca, nie starzejącą się młodość ducha; jeden i drugi przedmiot choćby najgłębszy uczyni jasnym jak na dłoni, a nadto zajmującym, miłym, jakby tu mowa była o najnowszej powieści, którą wszyscy czytali; bodaj raz w ciągu wykładu, nieraz częściej sala wybucha śmiechem serdecznym, bo prelegent wśród najpoważniejszego wywodu rzuci z lekka dowcipną uwagę, rozweselającą wszystkich, a zarazem czyniącą przedmiot jeszcze bardziej jasnym, zrozumiałym. To też nie dziw, że sale niektórych profesorów już godzinę przed wykładem zaczynają się napełniać chciwymi tej uczty duchowej, którzy, aby nie stać cały czas, wolą wcześniej zdobyć sobie miejsce do siedzenia.

Dużo złego mówi się o wpływie Francyi na inne narody i na nasz także — i słusznie; w niejednym kierunku wpływ ten był zgubny istotnie; winę tu co prawda ponoszą ci także, co zamiast od sąsiadów kulturalniejszych, bo starszych kulturą, uczyć się tego, co dobre, co pożyteczne, brali od nich to, co złe lub to, co nie nadawało się na inny grunt psychiczny i na nim musiało wydać owoce nieudane. Wszakże nie kto inny, tylko wielki Goethe w tym samym wieku, w którym inni brali z Francyi tyle rzeczy złych, kształcił swój umysł na kulturze francuskiej, do czego sam się przyznaje w tem pięknem powiedzeniu do Eckermanna w odpowiedzi na zarzuty z powodu zachowania się wieszcza Niemiec w czasie wojen napoleońskich: „Nie nienawidziłem Francuzów, choć Bogu dziękowałem, gdyśmy się ich pozbyli. Jak zresztą mógłbym ja, dla którego jedynie kultura i barbarzyństwo mają znaczenie, jak mógłbym nienawidzić naród, należący do najkulturalniejszych w Europie i któremu zawdzięczam tak wielką część mojej własnej kultury“ [1])! Wiadomo, że na tegoż Goethego wpływał i Szekspir i starożytni i co do jego twórczości poetyckiej, te wpływy były z pewnością silniejsze; dramaty Goethego, jak jego liryki, przypominają więcej Anglików i Greków, mniej Francuzów; a jednak wspomina on z taką wdzięcznością wpływ nieprzyjaciół swojej ojczyzny — zapewne dlatego, że im zawdzięcza najwięcej z tego, co było w najdosłowniejszem tego słowa znaczeniu jego kulturą umysłową, a wiemy, że ta kultura twórcy Fausta była jedną z najszerszych, jakie znamy w dziejach — po porównanie sięgnąćby trzeba gdzieś do Leonarda da Vinci: bo twórca Ifigenii to i poeta i malarz i co tak rzadko idzie w parze, krytyk zarazem, znawca piękna w poezyi i sztuce, a co jeszcze rzadsze, to uczony naturalista i fizyk; najodleglejsze od siebie królestwa wiedzy ludzkiej były mu znane; w jednych i drugich dokazał rzeczy nadzwyczajnych. Otóż nasuwa się pytanie, czy tę żywość umysłu, elastyczność jego, tę ciekawość wszystkiego, co się w świecie ducha dzieje, a która tak niezmiernie sympatycznym czyni Jowisza weimarskiego, nie starzejącego się do ostatnich dni tak sędziwej starości: czy nie to właśnie zawdzięcza on Francyi i czy nie coś z tego stanowi najważniejszy wpływ tejże Francyi na resztę Europy? Ma się wrażenie, że inne narody, cięższe, powolniejsze umysłem, choć równie zdolne do postępu kultury, musiały czekać dłużej na to obudzenie ze snu do życia myśli żywszej, bardziej twórczej, którego to obudzenia dokonała właśnie Francya. Bo czy to nie ciekawe, że jak w średniowieczu literatura niemiecka, prócz Nibelungów i Gudruny, czerpie całe swe bezpośrednie natchnienie u sąsiadów z drugiej strony Renu, tak w wieku XVII. i XVIII. jeszcze ożywia się po długim upadku za podnietą i wpływem tejże Francyi? Toż Leibniz pisze swe dzieła filozoficzne po francusku, w tym samym języku pisze Humboldt i wielu innych. Śmiejemy się czasem z tych, co tak aż do języka naśladowali Francuzów; lecz trzeba się zastanowić, czy ci naśladowcy Francuzów, gdyby tego wpływu nie doznawali, czyby wogóle myśleli, czyby ich umysł dalej nie spał, jak drzemała myśl ich przodków? A stosując to samo do Polski, spytajmy, czy poziom wieku XVIII. byłby taki, gdyby nie było tego ożywczego, elektryzującego wpływu umysłowości francuskiej?

Że ta lekkość myśli ma swe strony ujemne, jak ujemne strony ma sam naród francuski, to rzecz jasna. Należy tu ta zbytnia pochopność do wprowadzania w życie każdej idei, zanim się należycie zgłębi jej stosunek do rzeczywistości. Stąd te gwałtowne wybuchy dziejowe, których pełny jest wiek XIX., te rewolucye, jedna po drugiej, te cesarstwa, monarchie i republiki krótkotrwałe; na co inne powolniej, ale i spokojniej myślące narody potrzebowały wieków, na to Francyi dość było lat paru, a nawet miesięcy. — Stąd dalej ten brak zmysłu rzeczywistości, brak rozumienia proporcyi: roznamiętnianie się całego narodu z powodu jakiegoś Dreyfussa, przyczem nie stało już oczywiście wrażliwości na o całe niebo ważniejszą stratę całych kolonii.

Książę Bismarck rzucił bardzo ciekawą uwagę, że narody można dzielić na narody o typie męskim i kobiecym. Francya należy do drugiego typu; znamionuje ją istotnie sporo cech specyficznie kobiecych: poczynając od potoczystości i obfitości w mowie; a to przejmowanie się drobiazgami, nieodróżnianie rzeczy ważnych od mało ważnych, ta zmienność, czy to także nie cecha kobieca? Podobnie ciekawość — nie mówię tu o wadzie, ale o zalecie, o tej pięknej ciekawości dowiedzenia się czegoś mądrego, która sprawia, że sale odczytowe zapełniają przedewszystkiem — o ile nie prawie wyłącznie — kobiety, tak, jak kobiety przeważają na koncertach; one nie tworzą wielkiej muzyki, ale czy nie one jedne prawie ją oceniają, odczuwają? I tu uwaga żelaznego kanclerza w zastosowaniu do Francyi jest szczególnie uderzająca. Bo przypomnijmy sobie, jak muzyka niemiecka w swej twórczości przerasta — i to znacznie — muzykę francuską; imiona takie, jak Bach, Bethoven, Wagner, mówią to wyraźnie. Ale porównajmy przeciętną, tak zwaną „szeroką publiczność“ niemiecką na publicznym koncercie

[1]) Eckermann: Gespräche mit Goethe. Leipzig, Reclam. t. III., str. 223.

ogrodowym z publicznością francuską. W Berlinie czy Wiedniu muzyka sobie gra cudne melodye wielkich mistrzów a publiczność rozmawia głośno, o ile nie siedzi przy stolikach, hałasując talerzami i kuflami. Przeciwnie w Paryżu: byłem zdumiony i zbudowany, widząc, jak w ogrodzie luksemburskim wśród produkcyi muzyki wojskowej panowała najkompletniejsza cisza, a publiczność to bynajmniej nie z inteligencyi tylko, raczej przeważnie z owej „szerokiej publiczności“, od służących poczynając; w czasie takiego bezpłatnego koncertu nikt słowa nie przemówił, co, zważywszy jeszcze żywy temperament narodu, tembardziej zastanawia. A więc ta kobieca subtelność w odczuwaniu piękna — oczywiście nie muzyki tylko, ale i sztuki, poezyi, myśli także: ona cechuje naród francuski i nadaje mu ten wdzięk, czar, któremu ulega każdy, kto bliżej go pozna; a wiemy, że podobny wdzięk, czar, ma właśnie kobieta i nim podbija sobie mężczyznę, jak Francya nim przez tyle wieków podbijała Europę. (C. d. n.)

M. Paciorkiewicz.

KRONIKA KOŚCIELNA.

Zebranie wyborcze Sodalicyi Maryańskiej Panów we Lwowie po przerwie trzechletniej. Dnia 8. grudnia 1916. w święto Niep. Pocz. N. Maryi Panny wszystkie lwowskie Kongregacye Maryańskie przystąpiły do wspólnej Komunii św. w czasie mszy św. odprawionej przez X. Kan. Dra Jełowickiego, który też w podniosły sposób przemówił od ołtarza o znaczeniu staropolskich „Godzinek“ w kulcie Maryi.

Następnie po godz. 9. rano rozpoczęły się w lokalu zjednoczonych Kongregacyi Maryańskich (ul. Rutowskiego 10) wybory nowego Wydziału Sodalicyi Maryańskiej Panów w obecności 52 członków.

Po odmówieniu modlitwy do Ducha św. O. Moderator, X. Jan Słonkowski T. J. zagaił zebranie piękną przemową, w której wyjaśnił, dlaczego po oswobodzeniu Lwowa od najazdu nieprzyjacielskiego nie odbyły się wybory, pomimo, że prefekt p. Konopka, zmuszony czynnościami urzędowemi do stałego, na razie, pobytu w Białej, złożył na jego ręce rezygnacyę. Spodziewając się rychłego do Lwowa powrotu Namiestnictwa, a z niem i Prefekta, postanowił O. Moderator przeczekać czasy krytyczne i dlatego powierzył prowadzenie Sodalicyi dawnemu Wydziałowi, uszczuplonemu wprawdzie do połowy, lecz wystarczającemu tej liczbie sodalisów, która się znalazła wówczas we Lwowie. Obecnie jednak przyszedł do przekonania, że prowizoryum to dalej trwać nie może i dla dobra Sodalicyi samej konieczne są nowe wybory.

Następnie sekretarz, sod. Teofil Bentkowski, odczytał sprawozdanie z ostatniego zebrania wyborczego w grudniu 1913 r., które przyjęto bez dyskusyi.

Wiceprefekt Franciszek Walczak zdał z kolei sprawę z trzechletniej działalności Wydziału. Wspomniał o bujnym rozwoju Sodalicyi w r. 1914 przed wojną, kiedy to urządzone w jej łonie odczyty, uczęszczane przez najwykwintniejsze sfery katolickie Lwowa, ogólnie uważano w mieście za początek katolickiego uniwersytetu we Lwowie. Podniósł zasługę Sodalicyi Panów w ustaleniu katolickich podstaw skautyzmu polskiego, o którym odczyt, wygłoszony przez sod. Józefa de Hallenburg Hallera, dzisiejszego sławnego Brygadyera Legionów polskich, wywołał ożywioną dyskusyę w ciągu czterech wieczorów sodalicyjnych. Wzięli w niej udział nie tylko sodalisi, ale i ojcowie i matki katolickie, jakoteż i przedstawiciele organizacyi skautowej, uchwalając wkońcu znane rezolucye, ogłoszone potem w broszurze p. t. „W sprawie skautyzmu, jako czwartego czynnika wychowawczego młodzieży polskiej“.

W czasie Zielonych Świąt r. 1914, obchodziła Sodalicya 25-ciolecie swego istnienia. Srebrne te gody sodalicyjne uświetnił liczny zjazd delegatów sodalicyi męskich całego kraju, a upamiętniło założenie upragnionego, a tak potrzebnego krajowego Związku męskich Sodalicyi Maryańskich, którego prezesem został obrany nasz prefekt p. Adam Konopka. Obszerne o tem sprawozdanie zamieścił „Sodalis Marianus“ w numerze 4-tym z r. 1914.

Nagle wybuchnął straszliwy pożar wojny powszechnej! Stanęła wszelka praca twórcza w dziedzinie duchowej, przerwała się też zbożna akcya naszej Sodalicyi. Utworzyły się Legiony polskie. Niedawno powstały Związek Sodalicyi Maryańskich ofiarował im skromny, ale gustowny ołtarzyk polowy wraz z koniecznymi przyborami, zakupiony z funduszów Sodalicyi Maryańskiej Panów, bo Związek żadnymi jeszcze nie rozporządzał. Ołtarzyk ten oddało Prezydyum Sodalicyi pułkownikowi Legionów, sod. Hallerowi, w przeddzień wymarszu Legionu ze Lwowa.

Wypadki następowały w szalonym tępie. Przyszła inwazya, którą poprzedziło tłumne uchodźtwo ze Lwowa. Rozprószyli się sodalisi: jedni musieli chwycić za oręż, drudzy znaleźli się na wychodźtwie, garść pozostała w mieście. Aby się w sprawozdaniu nie powtarzać, odsyła sprawozdawca słuchaczy do swego artykułu p. t. „Z życia i działania Sodalicyi Maryańskiej Panów we Lwowie w latach wielkiej wojny“, ogłoszonego w numerze wrześniowym z r. 1916 pisma „Sodalis Marianus“.

W uzupełnieniu tego, co tam jest opowiedziane, podniósł Wiceprefekt z gorącem podziękowaniem, potwierdzonem hucznymi oklaskami zebranych, wielką ofiarność sodalisa i konsultora Stanisława hr. Badeniego, prezesa Towarzystwa im. Piotra Skargi, który kilkanaście tysięcy egzemplarzy wydawnictw tego Towarzystwa oddał bezpłatnie do bibliotek „Czerwonego Krzyża“ i innych organizacyi oświatowych, a samej Sodalicyi przyszedł z wydatną pomocą, umożliwiając jej wyrównanie zaległego czynszu i przeprowadzenie się do nowego odpowiedniejszego lokalu.

Wspomniał następnie o coraz to bardziej odczuwanej potrzebie zjednoczenia się w jeden zwarty obóz wszystkich lwowskich towarzystw katolickich, w której to myśli z incyatywy Sodalicyi Panów uczyniono pierwszy krok przez utworzenie „Konsumu“ zjednoczonych towarzystw katolickich, którego kierownictwo objął sod. Karol Pieniążek, a do Rady nadzorczej z ramienia Sodalicyi weszli sodalisi: Bentkowski, Hoszowski, Wilimowski.

Ostatnie radosne dla narodu polskiego zdarzenie, proklamowanie dnia 5. listopada 1916 niezależnego Królestwa Polskiego, uczciła Sodalicya Panów uczestnictwem we wspólnem nabożeństwie wszystkich lwowskich Kongregacyi Maryańskich, odprawionem dnia 11. listopada b. r. w kościele OO. Jezuitów, w czasie którego Sodalisi przystąpili do Stołu Pańskiego.

Widok to był istotnie imponujący i jedyny w swoim rodzaju, gdy Kongregacye Maryańskie ze swymi sztandarami wypełniły szczelnie obszerny kościół OO. Jezuitów, aby padłszy na kolana, podziękować Panu Bogu i Maryi, Królowej Korony Polskiej, za oswobodzenie Ojczyzny z niewoli rosyjskiej, prosić dla niej o błogosławieństwo i przyjąć na tę intencyę Komunię św.!

Dnia następnego wzięła Sodalicya Panów ze sztandarem udział w odprawionej przez X. kan. Henryka Badeniego mszy polowej na polance pod kopcem Unii Lubelskiej i w pochodzie narodowym z pod kopca do kolumny Mickiewicza. (Dok. nast.)

Franciszek Walczak, sodalis Marianus.

Z Tarnowa. Czynne katolickie Stowarzyszenie pracy kobiet. które od szeregu lat prowadzi „Tanią kuchnię“ i żeńską „Szkołę introligatorską“, podjęło się obecnie nowego dzieła bardzo na czasie, t j. otworzyło skład dewocyonaliów, zaopatrzony w przedmioty religijne wszelkiego rodzaju, a zwłaszcza w wielką ilość różańców, wykonywanych stale przez biedne dziewczęta, zostające pod opieką Stowarzyszenia. — Ta gałąź przemysłu była dotąd niestety u nas zaniedbaną, a spoczywała w rękach obcych, nawet żydowskich. To też z uznaniem i radością należy powitać i gorąco poprzeć to nowe dzieło. Sklep, o którym mowa, nosi nazwę: „Polonia“ i mieści się w pasażu Tertilów, przy placu Kazimierza Wielkiego 1. — (Por inserat na str. 24).

Z teologii pasterskiej.

Ślub w obcej parafii i wobec obcego kapłana.

Narzeczony od miesiąca zamieszkały w parafii św. Mikołaja, a przedtem w parafii św. Andrzeja i narzeczona z parafii św. Maryi Magdaleny proszą X. Katechetę X.. by poblogosławił ich związek małżeński w kościele PP. Benedyktynek łać. we Lwowie.

Pytanie: I. Gdzie mają być głoszone zapowiedzi?

II. Przed kim ma odbyć się egzamin przedślubny?

III. Od kogo X. Katecheta ma mieć upoważnienie do asystencyi przy ślubie?

IV. Gdzie ma być wpisany związek małżeński w księgi metrykalne?

Odp. ad I. Ponieważ każda ze stron do innej parafii należy, przeto zapowiedzi powinny być głoszone w obydwóch parafiach, t. j. u św. Mikołaja i u św. Maryi Magdaleny. Nadto ponieważ narzeczony w parafii św. Mikołaja 6 tygodni jeszcze nie przemieszkał. przeto według prawa austr. §. 72 k. c. należy także ogłosić zapowiedzi w miejscu jego ostatniego pobytu. t. j. w parafii św. Andrzeja.

Ad II. Egzamin przedślubny ma się odbyć u proboszcza narzeczonej, a więc w parafii św. Maryi Magdaleny.

Ad III. Według prawa kościelnego (Decr. „Ne temere“, 2 Aug. 1907, n. III. IV. V. 3, VI.), ma proboszcz (administrator) parafii św. Maryi Magdaleny dać X. Katechecie zezwolenie (ad licitam assistentiam), a proboszcz kościoła M. B. Śnieżnej, w którego parafii znajduje się kościół PP. Benedyktynek łać., delegacyę (do ważności małżeństwa). Ta delegacya ze strony proboszcza (administratora) parafii M. B. Śnieżnej tak jest potrzebna, iż bez niej małżeństwo byłoby nieważne, choćby nawet sam proboszcz parafii św. Maryi Magd. dawał ślub w kościele PP. Benedyktynek łać. narzeczonym w swojej parafii zamieszkałym. Wedle prawa zaś austryackiego proboszcz św. Maryi Magd. nie potrzebuje żadnej delegacyi do dania ślubu swoim parafianom w obrębie parafii M. B. Śnieżnej; dla X. Katechety wystarczy delegacya którego kolwiek z proboszczów narzeczonych. Nadto według prawa austr. §. 81 k. c. delegacya powinna być udzieloną na piśmie, gdyż małżeństwo ma być zawarte w parafii, do której żadna strona z narzeczonych nie należy. Zachodzi tu więc pomiędzy prawem kościelnem a cywilnem znaczna różnica, która jednak nie doprowadzi do żadnych zawikłań, jeżeli delegat będzie się trzymał tak przepisów prawa kościelnego, jak i austryackiego i ze względu na nie zaopatrzy się w drugą, czy dla forum kościelnego czy cywilnego ewentualnie potrzebną delegacyę.

Formularze licencyi i delegacyi do ślubu podaje profesor Dr. Wład. Abraham w swem dziele p. t. „Forma zawarcia zaręczyn i małżeństwa“, str. 159, jako też X. Dr. Jougan w dziele „Kancelarya parafialna“, str. 527.

Ad IV. Wpisu zawartego związku małżeńskiego w księgi metrykalne (liber copulatorum) powinien dokonać natychmiast proboszcz tej parafii, w której ślub się odbył, a więc w naszym wypadku M. B. Śnieżnej. Tak postanowiło ministerstwo spraw wewnętrznych 6. sierpnia 1882 (Korzeniowski, „Zbiór przepisów“ etc. str. 31) i dekret „Ne temere“ art. IX. §. 1. Proboszcz parafii św. Maryi Magd. po otrzymaniu zawiadomienia o zawarciu małżeństwa zaznaczy również w swojej księdze, ale bez liczby porządkowej, że ślub między temi osobami w dniu ..., przedtem upoważnionym kapłanem został zawarty. Ponieważ proboszcz parafii, w której związek zawarto, ma akt ślubu zapisać pod liczbą porządkową, przeto on też upoważniony jest do wydania świadectwa tego ślubu.

Nadto nakazał dekret „Ne temere“ w §. 2. art. IX. by w metrykach chrztów notowano akty zawartego małżeństwa. Jeżeliby małżonkowie w różnych parafiach byli ochrzczeni, natenczas ma proboszcz miejsca, gdzie ślub się odbył, zawiadomić o tem proboszcza. względnie proboszczów parafii, w której osoby te zostały ochrzczone, aby fakt zawartego małżeństwa w odpowiednie księgi chrztów został wpisany.

X. Łyszczarczyk.

Wspomnienie pośmiertne.

† Brat Albert (Adam Chmielowski).

W pierwsze święto Bożego Narodzenia r. z. rozstał się z tym światem jeden z najzasłużeńszych ludzi w naszym kraju, a znany w całej Polsce ze swych cnót samarytańskich.

Adam Chmielowski urodził się w Królestwie w r. 1848. W 1863 r. brał udział w powstaniu; podczas jednej z walk stracił nogę. Właściwym jego zawodem było malarstwo, okazał też w tej dziedzinie rzeczywisty talent. Ale współczujące niedoli ubogich jego serce kazało mu porzucić zawód artystyczny i oddać się w całości na usługi cierpiącym i wydziedziczonym. Jeszcze za życia ś. p. biskupa Dunajewskiego, gdy raz przekonał się, w jakich rozpaczliwych warunkach mieści się 150 ubogich w nędznym przytułku nad Wisłą, za zezwoleniem Arcypasterza zajął się tymi ubogimi. Tak powstał zakład dla ubogich w r. 1888. Prócz tego założył w Krakowie dwa zakłady żeńskie. Zakłady Brata Alberta rozszerzyły się niebawem po kraju. Braci jest około 60, tyleż mniej więcej i Sióstr. Posiadają zakłady we Lwowie, Tarnowie i Przemyślu. Mnóstwo chorych i ubogich a także i dzieci znajduje przytułek w tych zakładach. Chrześcijańska i serdeczna opieka zbawienny wywiera wpływ na ludzi zupełnie upadłych i na pozór straconych. W samym Krakowie stwierdzono, że dzięki przytuliskom Brata Alberta liczba spraw karnych, oddanych przez policyę sądom, spadła w jednym roku z 5000 na 4000.

Starzec, który wszystkie swe siły oddał nieszczęśliwym, z zapałem i poświęceniem starając się krzepić nietylko nędzą wyniszczone ciało, ale i dusze zatrute występkiem, opuścił rzeszę serdecznie ukochaną, zostawiając wszakże następców, którzy zbożne jego dzieło dalej prowadzić będą. Pamięć jednak wielkiego opiekuna ubogich trwać będzie długo w naszem społeczeństwie, które o niespożytych jego zasługach nie zapomni.

Salezyańska Szkoła organistów w Przemyślu.

Jak wiadomo, założenia i prowadzenia tej szkoły, mającej zaopatrywać w organistów kościoły wszystkich dyecezyi galicyjskich podjęli się XX. Salezyanie na przedstawienia i zachętę Najprzew. XX. Biskupów. Szkoła rozpoczęła swą pracę dnia 1. września br. Przyjęto na I kurs dwunastu uczniów, pochodzących z wszystkich naszych dyecezyi, przeważnie jednak z przemyskiej, którym zakład daje nie tylko odpowiednie wykształcenie, ale i zupełne utrzymanie. Prócz wychowania i wykształcenia ogólnego i zawodowego z zakresu religii, języków polskiego, łacińskiego i niemieckiego, rachunków, liturgiki, śpiewu, gry na fortepianie, organach i innych instrumentach, chorału gregoryańskiego, harmonii, itd. — ogółem 38 godzin lekcyi tygodniowo — pobierają uczniowie jedną z praktycznych nauk według wyboru, tj. krawiectwa, albo ogrodnictwa, albo rachunkowości i buchalteryi.

Urządzenie nowej Szkoły a zwłaszcza internatu, pociągnęło za sobą znaczne koszta. Wydatki na same tylko urządzenie sypialni (łóżka, materace, koce, wspólna umywalnia) wynoszą 2300 K; na zakupno i reparacye instrumentów muzycznych przeszło 900 K; na urządzenie klasy 130 K; refektarza (stoły, ławki, talerze,

szluće, naczynia kuchenne) 370 K. Pomijamy koszta adaptacyi, wydatku na służbę, opał i światło, na utrzymanie personalu nauczycielskiego, który ze względu na znaczną ilość lekcyi musiał być odpowiednio powiększony.

Szkoła funduszów żadnych nie ma. Opłaty uczniów, przeważnie biednych, pokrywają z trudem koszta ich wyżywienia. My sami, to co mamy i dać możemy, tj. zakład i osobistą naszą pracę, chętnie na zbożny cel bezinteresownie ofiarujemy. A że to wszystko nie wystarcza, nie pozostaje nam jak gorący apel do wszystkich serc szlachetnych, by przy tem nowem dziele podjętem dla dobra Kościoła i pożytku polskiego społeczeństwa, nie zostawiali nas samymi, ale skutecznie wspierali. Pomoc ta, może dlatego, że dotąd zbyt głośno o nią nie pukaliśmy, nie okazała się jeszcze dość wydatną. Prócz wzmiankowanego poniżej wsparcia, łaskawie nam przez Najprzew. X. Biskupa Pelczara w tych dniach udzielonego, ofiarowali na Szkołę organistów:

Zarząd dawnej przemyskiej Szkoły organistów 1057 K 62h.; X. Hałaciński (Żywiec) 100 K; X. Orzech (Tarnów) 15 K; X. Macak (Krzyszkowice ad Myślenice) 100 K; X. Winnicki (Grabownica) 10 K; X. Mikoś (Sędziszów) cztery instrumenta dęte, p. Pragłowski (Komarowice) 10 korcy ziemniaków.

Składając publiczne podziękowanie tym naszym dobrodziejom, dajemy wyraz życzeniu, by inni licznie poszli w ich ślady, umożliwiając nam w ten sposób doprowadzenie zapoczątkowanego dzieła do pożądanego rozkwitu dla chwały Bożej i dobra narodu

* * *

Podziękowanie. — Na Szkołę organistów złożył Najprzew. X. Biskup Józef Pelczar 200 K. Wyrażamy Mu tą drogą nasze serdeczne podziękowanie.

XX. Salezyanie.

Z Towarzystwa wzajemnej pomocy kapłanów.

Do Towarzystwa złożyli w czasie od 5. grudnia 1916 do 8. stycznia 1917 roku P. T. XX.: Oczkowski A. koron 12·82, Rzepecki S. 70·20, Rejowski A. 12·90, Kraupa R. 13·96, Dr. Mytkowicz A. 10·—, Bilski W. 23·50, Wagner W. 38·40, Mikrut L. 12·90, Wójcik F. 11·80, Piwiński J. 12·72, Konieczko J. 12·90, Skowron J. 12·90, Barzycki J. 46·90, Steiner I. 12·90, Krechowicz J. 20, Dr. Stanczykiewicz J. 12·90, Marzec J. 25·60, Sobczyński St. 12·90, Bryczkowski M. 51·90, Leja J. 13·—, Dr. Ślósarz J. 23·40, Kulig St. 23·50, Dr. Grabowski I. 20, Szymczakowski Z. 14·—, Dr. Gromnicki T. 27·50, Duszeńko M. 23·50, Danek W. 12·—, Nadolski J. 12·10, Dr. Vrana W. 52·20, Orzech W. 49, Wojtowicz J. 70·20, Koleński A. 22, Lechicki S. 12·40, Janusiewicz J. 12·—, Dr. Chciuk T. 32, Szatko St. 23·40, Dr. Mytkowicz A. 10, Dr. Szydelski S. 12·90, Długosz T. 23·50, Wojakowski W. 23·50, Kwarciński J. 32·14, Urbański G. 32·10, Ryś L. 25·80, Rottermund M. 52, Chmurowicz J. 22, Dutschka E. 12·18, Skalski A. 12·80, Sandałowski E. 12·—, Szneider J. 12·10 kor.

* * *

Na Dom Księży w Worochcie złożył: X. Bilski W. 26·50 kor.

* * *

Uprasza się tych Czcig. Członków, których obecne miejsce pobytu nie jest Wydziałowi znane, o podanie swego adresu.

We Lwowie, 10. stycznia 1917.

Z Wydziału Towarzystwa wzaj. pom. Kapłanów.
(Lwów, ul. Murarska 49).

X. J. Janusiewicz, sekr. *X. Dr. A. Pechnik*, za prezesa.



Z lwowskiego Koła XX. Katechetów.

Dnia 17-go b. m. wygłosi X. Dr. Lisowski drugą lekcyę o predestynacyi.

Wiadomości dyecezyalne.

Dyecezya przemyska.

Zmarli XX.: Antoni Koleński, prob. i dziek. w Krośnie, w 70 r. życia, a 47 r. kapłaństwa; Jan Ramocki, prob. w Dydni, w 54 r. życia, a 30 r. kapłaństwa. — *R. i. p.*

Dyecezya tarnowska.

Odznaczeni exp. kan. XX.: Marcin Zaczek, prob. w Wojniczu i Marcin Florek, prob. w Olszynach.

Zmarł X. Andrzej Konieczny, prob. w Dąbrowie, w 58 r. życia, a 31 r. kapł. — *R. i. p.*

Korespondencya Redakcyi.

W. P. Dr. S. we L i W. X. Dł. w W. Bardzo dziękujemy! Zamieścimy w najbliższym czasie.

W. X. G. w Przew. Otrzymaliśmy 27 kor. 6 hal. za *Gaz. Kość.* (r. 1917) i *Mies. Katech.* (r. 1916 i 17).

W. X. Sl. w W. rz. Otrzymaliśmy 26 K. Z kwoty tej zapisaliśmy jako pren. za *Gaz. Kość.* 14 kor. za r. 1916 i 1·50 kor. a conto r. 1917, a 10·50 kor. za *Mies. Katech.* za r. 1916 i 1-e półrocze 1917.

Na fundusz prasowy złożyli: XX: Kan. Dr. Badeni *tysiąc* koron, K. D. z E. z ofiar Duchowieństwa czeskiego 80 kor., Kan. Dr. Nikiel (z Krakowa) 20 kor., Boryszko (ze Lwowa) 5 kor., Łańcucki (z Podwysokiego) 10 kor., Dr. Bielawski (ze Lwowa) 30 kor., Dorożyński (z Lipowiec) 5 kor., Baściak (z Dawidowa) 20 kor., Wojnarowicz (z Dunajowa) 20 kor., Kaszelewski (z Kościelisk) 10 kor., Lewicki (z Trzebosi) 3 kor.

Własność Towarzystwa Wzajemnej Pomocy Kapłanów.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: X. Dr. Aleksander Pechnik. Z drukarni J. Chęcińskiego we Lwowie, ul. L. Sapieby 77.